Cena numeru — 1 zł.

PISMO ORGANISTOWSKIE

MIESIĘCZNIK

POŚWIĘCONY WIEDZY FACHOWEJ I ŻYCIU ORGANISTÓW

Rok II. Warszawa, Grudzień 1928 r. № 9 (13)

Redaktor: BRONISŁAW RUTKOWSKI—Warszawa, Okólnik 1 (Konserwatorjum).

PO DWUDZIESTU PIĘCIU LATACH.

AUTORYTET I POSŁUSZEŃSTWO.

Ćwierć wieku minęło od czasu jak Stolica Apostolska ogłosiła swe wiekopomne przepisy, dotyczące muzyki liturgicznej. „Z własnej woli i z pełnem zrozumieniem rzeczy ogłaszamy tę Naszą instrukcję (opiewa dokument papieski), w której jako w ustawie prawomocnej dla muzyki kościelnej, chcemy z pełności Władzy naszej Apostolskiej nadać moc prawną i zarazem tem naszem odręcznem pismem wszystkich zobowiązać do najściślejszego jej przestrzegania".

Do kogo zlecenie to się stosuje? Dość wyraźnie zdaje się dokument ten w pierwszych zaraz zwrotach odpowiada na powyższe pytanie: „Jedną z najważniejszych trosk urzędu pasterskiego, nietylko na tej Najwyższej Stolicy Apostolskiej..., lecz i w każdym poszczególnym kościele, stanowi zadanie utrzymania i podniesienia godności Domu Bożego".

Aby zaś uniknąć wszelkich punktów spornych, po wyszczególnieniu prawideł — Encyklika w zakończeniu wymienia tych wszystkich, na których w specjalny sposób nakłada obowiązek wprowadzenia w czyn jej przepisów, a więc: „kierownicy chórów, kantorzy [1]), duchowieństwo, przełożeni seminarjów, zakładów duchownych i zgromadzeń zakonnych, proboszczowie, przełożeni kościołów, kanonicy kolegjalni i katedralni, a przedewszystkiem Ordynarjusze djecezjalni".

Motywując zaś konieczność wykonywania tych przepisów, Encyklika dodaje: „.... aby nie doznała zawstydzenia najwyższa

[1]) W niektórych krajach przy kościołach istnieją kantorzy, którzy pełnią obowiązki naszych organistów. (Przyp. red.).

powaga Kościoła, która kilkakrotnie tę reformę zalecała i teraz znowu jej wymaga".

Z tego więc wyraźnie wynika, że Papież wprost włożył te prawa na każdą poszczególną świątynię i obowiązek ich przestrzegania *w szczególności* (jeśli nie wyłącznie) na Ordynarjuszów, pozatem na wszystkich proboszczów parafjalnych, na każdego kierownika chóru i każdego śpiewaka.

Taka interpretacja myśli Instrukcji papieskiej wypływa sama przez się ze swego tekstu. Wznieciła ona już niejednokrotnie poważne skrupuły w sumieniach tych wszystkich muzyków, którzy zostali objęci rubryką Encykliki i na których został włożony obowiązek ścisłego jej przestrzegania.

Gdyby dokument ten w swej istocie nie był czem innem jak tylko życzliwą i ojcowską radą Papieża bez mocy obowiązującej dla innych djecezji poza obrębem Rzymu, ani też dla żadnego kościoła poszczególnie wziąwszy, zanim Ordynarjusz miejscowy w zakresie swej władzy nie zechce uczynić ją obowiązującą — przyznaćby należało, że wyrażenia użyte w „Motu Proprio" przedziwnie w błąd wprowadzają.

Przepisy papieskie niewiele wnoszą z sobą nowego; są one streszczeniem i ustaleniem prawideł i ustaw wydawanych przez Kościół od chwili, gdy muzyka świecka zaczęła się przeciskać do świątyń pańskich, zatem począwszy od wieku XVI i w ciągu następnych: XVII, XVIII i XIX, gdy każdy z nich wnosił ze świata naleciałości, które kolejno trzeba było wykorzeniać.

„Motu Proprio" wyraźnie zaznacza swą intencję ujęcia w stałe reguły dawnych przepisów, gdy mówi: „aby znikła wszelka niepewność w tłomaczeniu niektórych już wydanych przepisów".

Wśród nowowydanych przepisów jedne zawierają wskazania czysto negatywne; te są najłatwiejsze do wykonania i mogły być z łatwością wprowadzone w życie od pierwszego dnia ich ogłoszenia.

Chodzi tu mianowicie o powstrzymanie się w pewnych rzeczach, jak np.: we wprowadzaniu do kościoła muzyki lekkiej lub teatralnej, solowych śpiewów i wszelkiego powtarzania lub przeinaczania tekstu.

Inne przepisy zawierają wskazania pozytywne: ustanawiają kryterja dla osądzenia charakteru religijnego lub niereligijnego danych utworów muzycznych, wskazują styl muzyczny właściwy tekstom liturgicznym, melodje, będące w ścisłym związku z tekstem liturgicznym i stanowią o używaniu, poza śpiewem ludz-

kim, wszelkich innych instrumentów muzycznych. Przepisy te mogłyby być trudne do wykonania wówczas, gdyby trzeba było stwarzać całą muzykę w stylu wymaganym przez Papieża. Lecz przecież podobna muzyka już istnieje oddawna, więc — aby usłuchać, wystarcza wziąć się do przestudjowania tylu, a tylu arcydzieł zarzuconych i zapomnianych!

Naprawdę, dziwna to rzecz i nie do uwierzenia, że my, katolicy, do tego stopnia oddaliliśmy się od poczucia najelementarniejszego uszanowania należnego Domowi Bożemu, że dopiero formalnym nakazem do porządku doprowadzeni być musimy. I mimo to po dwudziestu pięciu latach, czy ktokolwiek z nas śmiałby twierdzić, że słuszne i łagodne polecenie Papieża „skrupulatnie zachowywane było *przez wszystkich*?"

Ponieważ przyznać musimy, że tak nie jest, szukajmyż przyczyn zła. Nie chcemy czynić tego bynajmniej przez ostrą krytykę lub rozgoryczenie i zniechęcenie, lecz jedynie ze szczerym zamiarem wzniecenia w naszych czytelnikach myśli pozytywnych i użytecznych.

Prawda — po 25 latach pewien postęp w tym kierunku da się stwierdzić: Kościół posiada swe obowiązujące, przepisowe książki; poszukiwania naukowe uczonych i artystów wydarły przeszłości sekret dawnych melodji, przekazując je wszystkim żądnym ich zbadania. Tu już po omacku nie idziemy! Tak w naszym kraju[1]), jak i zagranicą zostały założone szkoły muzyki kościelnej. Dziś już nie czujemy się zaskoczeni jak wówczas, w pierwszej chwili po ogłoszeniu „Motu Proprio", kiedy (przynajmniej rzec można o Stanach Zjednoczonych) prawie żaden kierownik chóru, żaden śpiewak nie wiedział, czem jest właściwie muzyka liturgiczna. Kler nie posiadał żadnego wyszkolenia muzycznego, nie był zdolnym nawet odczuć różnorodności wzruszeń wywoływanych muzyką. Dziś sytuacja inaczej się przedstawia. Wielu już mamy kompetentnych kierowników chórów, wiele szkół, gdzie każdy dopełnić może braki w swem wykształceniu muzycznem. I co ciekawsze — coraz szersze kręgi obejmuje ruch, dążący do obznajomienia katolickiej dziatwy szkolnej z istotą muzyki liturgicznej, przepisowej. W ten sposób powoli i systematycznie wyplenia się muzykę przez Zwierzchność kościelną potępioną, zastępując ją muzyką odpowiednią.

Z zapałem do tej reformy zabrały się zakonnice zakładów

---

[1]) Mowa tu o Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki. (Przyp. Redakcji).

wychowawczych. Poświęciły one własne wakacje na to, aby przejść kursy, kompletujące wiadomości ze śpiewu i muzyki kościelnej. Pomimo stosunkowo przeładowanych programów nauk wprowadziły one w swych zakładach wychowawczych lekcje śpiewu i muzyki kościelnej i wkrótce cieszyły się wspaniałemi rezultatami w wybitnym wzroście pobożności wśród dzieci.

To wszystko jest dowodem istotnego postępu. Nie brak też w tej dziedzinie kompetentnych profesorów, powstał cały zastęp małych (młodych) śpiewaków, gotowych w każdej chwili stanąć przy pulpitach kościelnych.

A pomimo tych pocieszających objawów, jakież przyczyny wstrzymują całkowite wprowadzenie w życie reformy żądanej przez Piusa X? Nie będziemy probowali odpowiedzieć na to subtelne pytanie i zadowolnimy się jedynie przedstawieniem niektórych racji, wysuwanych przez osoby cieszące się powagą w nadziei, iż można będzie jasno osądzić wartości tych zastrzeżeń.

Pierwszy zarzut—to ten, że „Motu Proprio" jest środkiem platonicznym, ponieważ ustawa ta nie przewiduje żadnych represji w stosunku do tych osób, które jej wykonywać nie będą.

Laikom nie wystarcza tego wytłumaczenia do nieposłuszeństwa.

Czyżby, wobec tego, cała nasza uległość Stolicy Apostolskiej ugruntowana była na strachu przed karą? Czy podobna taktyka postępowania dotyczy wszystkich przepisów kościelnych, czy też jedynie przepisów dotyczących muzyki kościelnej? A w takim razie, cóż się dzieje z prawami, przestrzeganie których dyktuje nam miłość i uległość? Więc, jeśli uczęszczam na nabożeństwo w niedziele i święta, czy czynię to w strachu przed torturami i poćwiartowaniem? Lub, jeśli wstrzymuję się od potraw mięsnych, przestrzegając post w piątki, czy to robię w obawie wysokich kar pieniężnych? Jeżeli wspomagam, wedle środków możności wszelkie dobre dzieła w parafji swej, czyż czuję się skądinąd zwolnionym od pełnienia tego obowiązku, dopóki Kościół karzącej swej ręki nie podniesie? „Exkomunika, zawieszenie w czynnościach kapłańskich, cofnięcie pensji" — te kary przewidziane były przez Papieża Aleksandra VII za uchylanie się przed regulaminem o muzyce kościelnej z r. 1657 — nie mówiąc już o karach cielesnych nakładanych przez Kardynała Wikarjusza na opornych kierowników chórów. Więc czyż aż takich represji Kościoła dziś nam jeszcze trzeba? W r. 1856 Kardynał Wikarjusz nałożył na krnąbrnych kierowników chórów,

organistów, a zwłaszcza na proboszczów ciężkie kary pieniężne, „nie wyłączających ewentualnych kar dodatkowych".

Czyż naprawdę będziemy wciąż opornymi w stosunku do tych mądrych zarządzeń—dopóki strach przed karami cielesnemi i pieniężnemi nie rozniecie w nas zapału do sprawy i doprowadzi do uległości Chrystusowemu Namiestnikowi?

Drugim argumentem wysuwanym przeciw poddaniu się prawidłom Encykliki jest *„zwyczaj"*. „Zawsześmy tak śpiewali jak dziś; w ten sposób ojcowie nasi śpiewali, taka muzyka nam odpowiada, przywykliśmy do niej. Zawsze używaliśmy organów podczas nabożeństw w adwencie i w wielkim poście; zawsze słuchaliśmy solowych śpiewów, najczęściej śpiewanych przez kobiety, nigdy nie stosowaliśmy się do *„proprium"* mszy św. Wszystkie te i tym podobne praktyki otrzymywały sankcję drogą utarcia i zwyczaju, jakżeż my dziś tolerować możemy wprowadzanie nowości do kościołów naszych!"

Sumienie laika nie stara się głębiej poznać — do jakiego stopnia, wysunięty przez powyższy zarzut, problem przyzwyczajeń usprawiedliwia złe nawyczki.

Więc, jeśli oddawna przywykłem zaniedbywać obowiązki niedzielne i Wielkanocne, czyż mogę „prawem przyzwyczajenia" zasłaniać się, broniąc swego trybu życia? W tem rozumowaniu dla profana jest jeden punkt niejasny: jeśli „zwyczaj" zdobył sobie prawo obywatelstwa, nawet, gdyby formalnie sprzeciwiał się zarządzeniom stolicy świętej, nacóż tedy zdadzą się prawa Kościoła? Owszem, Kościół najwidoczniej (takby się zdawało) stwarza wciąż nowe prawa w celu ukrócenia rozmaitych nadużyć, boć zadaniem Jego jest nawracanie grzeszników, a nie sprawiedliwych. Więc jeśli grzesznicy z powodzeniem powoływać się będą na prawo swoich „przyzwyczajeń" i odmawiać będą nawrócenia się, w takim razie całe prawodawstwo Kościoła dotyczyłoby wyłącznie tych, którzy nawrócenia nie potrzebują—żyjąc najprzykładniej.

Trzecim argumentem upoważniającym jakoby do nieprzestrzegania Encykliki jest twierdzenie, że: „wierni to lubią" — to znaczy lubią ten rodzaj muzyki, który został wyrugowany przez Papieża Piusa X z kościołów.

Osobiście — śmiem w to wątpić. Sądzę bowiem, że większość wiernych poto idzie na mszę św., by w kościele znaleźć atmosferę inną od światowej, by tam napawać się źródłem czystym, wolnym od zamuleń, jakie niesie ze sobą prąd czasu. Z pewnością, gdyby wierni szukali jedynie rozrywek, żądaliby

i snadniej znaleźli gdzieindziej. Dostarczać im, zamiast muzyki uświęconej, sentymentalne melodje i błyskotliwą tandetę muzyczną — to znaczy wnosić zaporę pomiędzy ich duszami, a ołtarzem. A przytem dla wielu muzyka sentymentalna jest nietylko źródłem dystrakcji, lecz i poważnych pokus. Wpływ takiej muzyki i na osobę świecką, a nawet i na osobę duchowną może być li tylko ujemny, porusza duszę i mąci jej spokój.

Ale przypuśćmy nawet, na dobrą sprawę, że wierni istotnie wolą wzbroniony rodzaj muzyki, wówczas nasuwa się pytanie: czy upodobania parafjan mają stanowić o kwestjach, w których Ojciec Św. wypowiedział się stanowczemi przepisami, „z całą pełnią swej Władzy Apostolskiej“? A jeśli w tych kwestjach gust wiernych jest decydujący, to czemu niema głosu i w innych zagadnieniach tyczących liturgji? Czemużby jedna muzyka zdana była na łaskę i niełaskę pierwszego lepszego? Muzyka, która „jako część składowa uroczystej liturgji, dzieli z nią cel ogólny“.

Gdyby wierni przekonali się, że upodobania ich, lub antypatje mogą zaważyć na szali rozporządzeń Kościoła — wynikłyby stąd konsekwencje bez granic. Czyż wolno, dajmy na to pani „X“ umieszczać dzieci swoje w szkołach niekatolickich, pod pretekstem, że program Encykliki papieskiej jest dowodem przesadnej gorliwości?

A gdyby pani „Y“, która lubi śpiewać na chórze solo w czasie nabożeństw zechciała ofiarować niebieskie, lub żółte komże dowodząc, że nie lubi innych kolorów liturgiką przepisanych, czy proboszcz, ulegając jej gustowi w śpiewie, ugnie czoło też przed jej autorytetem w dziedzinie kolorów? A zdarzyć się jeszcze może i to, że w powonieniu wiernych zaniknie wrażliwość na zapach kadzideł, a wtenczas, możeby należało zastąpić je innemi zapachami sztucznemi — jak słynne perfumy „Houbigant“ lub „Coty“, „Quelques fleurs“, czy też „Rose Jacqueminot“? Wątpię, czy się to da zrobić.

Lecz w takim razie jakżeż logiczne połączyć, z jednej strony niewzruszone obstawanie przy paragrafach, decydujących o kolorach lub o kadzidłach — z drugiej strony — dowolności w dziedzinie dźwięków — w dziedzinie muzyki? Powiem więcej — porównanie moje nie jest wystarczające, gdyż w kolorach niebieskim i żółtym komży niema nic poniżającego; również, sławne perfumy wielkich firm paryskich, tym samym tytułem co i kadzidło, są w istocie słodkiemi woniami, ulatującemi w niebo; natomiast muzyka, potępiona powyżej, sama w sobie jest niezdrowa i poniżająca i jeśli mam użyć wyrażenia z „Motu

Proprio", muzyka taka „wkłada znów w rękę Pana bicz, którym ongiś Zbawiciel wygnał przekupniów, profanujących Dom Boży".

A Papież Jan XXII w Encyklice z Awinjonu z r. 1324 powiada bez ogródek: kompozytorzy współcześni „zamiast rozwijać pobożność przeciwdziałają jej, stwarzając nastrój zmysłowości i nieskromności, pozwalający Boecjuszowi słusznie zauważyć, że jednostka o temperamencie zmysłowym lubować się niechybnie będzie w tych melodjach, a ktokolwiek wsłuchiwać się w nie będzie, utraci z czasem hart i męskość duszy".

Zbliżam się wreszcie do argumentu dowodzącego niemożliwości wykonywania zarządzeń Papieża, bądź to z braku odpowiednich do tego środków, bądź dla innych technicznych przyczyn.

Tu przyznać należy, że rzeczywiście, w wielu parafjach dla całkowitego wykonania Instrukcji papieskiej istnieją poważne trudności. Ale tu, jak i w innych wypadkach: „chcieć — to módz".

Znałem pewnego misjonarza, parafja którego była rozproszona w sawannach Ameryki Środkowej. A oddalenie od wszelkich środowisk cywilizacyjnych było tak wielkie, że aby odbyć swą spowiedź Wielkanocną musiał przebywać 300 klm. Jedynym towarzyszem jego był braciszek zakonny; parafjanami — sami tubulcy — indjanie. Lokomocją — łódka przez siebie zbudowana, którą objeżdżał rozrzucone wzdłuż wody osady krajowców, oddalone jedne od drugich o setki mil, pokrytych zaroślami, lub nieprzebytej dżungli.

Zdawać by się mogło, że to są typowe okoliczności, dające dyspensę od przestrzegania Encykliki Papieża Piusa X, która z pewnością nie miała na myśli tych izolowanych placówek misjonarskich, niosących światło wiary ludom niecywilizowanym. A jednak kapłan ów nigdy nie pomyślał o wynalezieniu wymówek, owszem, starał się przepisy „Motu Proprio" w czyn wprowadzić. W każdej wiosce celebrował mszę śpiewaną: braciszek śpiewał „Proprium", wierni jej części stałe, a wszystko wykonywano w najczystszym stylu gregorjańskim, będącym wedle słów Encykliki „najdoskonalszym wzorem muzyki liturgicznej". Oczywiście, solo braciszka śpiewającego „Proprium" było wyłomem w regule, niemniej jednak zrozumiałą jest fizyczna niemożliwość zastosowania się doń w tym wypadku. W każdym razie misjonarz ów, w granicach możliwości ludzkich, posłusznym był Kościołowi w najściślejszem tego słowa znaczeniu.

Mało jest u nas parafji, którychby warunki bardziej utrudniały wykonywanie przepisów władzy, jak w głuszy niezgłębionej dżungli. A nawet niechby i tak było! Przypuśćmy, że ludność

naszych parafji jest mniej podatna i bardziej ciemna od Indjan, że duchowieństwo nasze więcej jest przepracowane od owego misjonarza, który jednego tylko miał pomocnika, to nawet wówczas pozostaje do zastosowania cała część negatywna rozporządzeń Encykliki.

Niema tak wielkiego prostactwa, ani ciemnoty, któreby były przeszkodą w zaniechaniu w kościele śpiewów sentymentalnych, solowo wykonywanych, ani żaden nadmiar pracy proboszcza w wydaniu zakazu podobnych śpiewów. To właśnie minimum karności nie wymaga najmniejszych talentów, bo chodzi tu jedynie o dobrą wolę.

Krokiem naprzód byłoby powstrzymanie się od muzyki świeckiej i teatralnej. Jest to tem łatwiejsze, że muzyka ta w wielu wypadkach jest o wiele trudniejszą od spokojnej i pełnej prostoty muzyki zaleconej przez Kościół.

Tu wszakże powstaje nowa trudność: „wielu organistów i śpiewaków amatorów innej, poza świecką, muzyki nie znają, a więc nie będzie w kościołach muzyki wcale". Nasuwa się wówczas pytanie: Co lepsze, czy śpiewać sposobem wzbronionym, czy też nie śpiewać wcale?

Oto odpowiedź dana na powyższe pytanie przez jednego z biskupów. „Można zbawić duszę swoją słuchając cichej mszy św., ale nie można jej zbawić będąc nieposłusznym Stolicy Świętej. Nie śpiewajcie zatem wcale jeśli nie umiecie stosować się do przepisów wam danych".

W djecezji tej reforma przeprowadzona została z błyskawiczną szybkością, a argument o „niemożebności" nigdy już tam nie miał miejsca.

Najtrudniejsze nawet warunki dałyby się zmienić, gdyby proboszcz zechciał w te sprawy wejrzeć. Zawsze można wysłać organistę, lub zdolniejszego śpiewaka do szkoły muzyki liturgicznej, którzy po odbytych studjach udzielaliby parafjanom elementarnych wiadomości wuzycznych i nadaliby muzyce kościelnej charakter religijny. Byłoby to, małym kosztem, rozpoczęcie ogromnego i ważnego dzieła zrealizowania postulatów zawartych w Encyklice „Motu Proprio".

Przecież w każdej parafji są kwoty przeznaczone na mniej, lub więcej ważne potrzeby: na pensję zakrystjana, na wynagrodzenie kościelnego, na roboty ciesielskie, na pokrycie dachu, słowem na wszystko co dąży do rozwoju i dobrobytu pa-

rafji. Czyż wobec tego można jeszcze się wahać — zali mamy poświęcić tak nieznaczną sumę dla naszego dobra duchowego?

J. B. Ward.
New-York City
The Ecclesiastical Review.

Autorką niniejszego artykułu jest p. Justyna B. Ward założycielka i dyrektorka Szkoły muzyki liturgicznej imienia Papieża Piusa X w New-York'u. Studja chorału gregorjańskiego odbyła w Solesmes pod kierunkiem OO. Benedyktynów. Obecnie jest wielkim autorytetem w sprawach choralnych nie tylko w Ameryce, lecz i w Europie. OO. Benedyktyni z Solesmes niejednokrotnie aprobowali jej pracę, a ostatnio, jeden z największych i najzasłużeńszych autorytetów w kwestjach chorału gregorjańskiego. Dom Andrè Mocquereau orzekł, że Szkoła im. Piusa X kierowana przez p. J. B. Ward może być wzorem dla innych i że kierunek tej szkoły w niczem się nie różni od kierunku Solesmeńskiego.

Pani Ward często zabiera głos na łamach pism fachowych i zawsze to czyni z wielką kompetencją: zawsze porusza zagadnienia wielkiej doniosłości i czyni to w sposób rzeczowy i ciekawy. Artykuł niniejszy poprzednio został umieszczony w wielkiem i poważnem piśmie amerykańskiem „The Ecclesiastical Review" (Przegląd Katolicki), następnie przedrukowano go w „Revue Gregorienne" (Przegląd Gregorjański), piśmie francuskiem, redagowanem przez OO. Benedyktynów z Solesmes i będącem pod patronatem i kierunkiem J. E. Ks. Biskupa Rousseau. Świadczy to o powadze i fachowości niniejszego artykułu.

Chociaż omawiane w artykule warunki są inne niż w Polsce, to jednak uważaliśmy za stosowne pracę tę spolszczyć, gdyż rzeczowo i wyraźnie rozstrzyga on szereg kwestji i dla nas dziś wielce aktualnych.

W związku z niniejszym artykułem trzeba przypomnieć, że jeśli ruch nad naprawą muzyki kościelnej w wielu krajach katolickich coraz bardziej się wzmaga, z każdym rokiem zatacza coraz szersze kręgi i już wydał obfite plony, to w Polsce, niestety, w nielicznych jedynie środowiskach prowadzi się pracę nad naprawą tej dziedziny, w całej zaś rozciągłości „Motu Proprio" nie jest u nas przestrzegane.

Pracę nad zrealizowaniem postulatów zawartych w „Motu Proprio" musimy podjąć ze wzmożoną energją, bo chodzi tu o najgłębsze wartości religijne i kulturalne. Przyp. Red.

NIEKIEDY ZAWCZEŚNIE.

W № 10 „Muzyki Kościelnej" ukazał się artykuł ks. dr. H. Feichta p. t. „Znamienne wydawnictwo", w którem autor omawiając wydaną we Francji w r. 1926 książkę p. t. „Chants abrégès des Graduales, des Allelujas et des Traits pour toute

l'année sur des formules psalmodique anciennes" stwierdza, że podobne wydawnictwo nie może być ani tolorowane, ani dozwolone. Czyni za nie odpowiedzialnymi OO. Benedyktynów z Solesmes. „Wydawnictwo niniejsze—powiada ks. dr. Feicht—jest najlepszym dowodem na zmianę poglądów, jakie się w stosunku do chorału dokonały u OO. Benedyktynów Solesmeńskich... Jakżeż jednak z czasem—i to niekiedy zapóźno—musi się poddawać rewizji nawet te poglądy, które poprzednio uznawało się za niewzruszone, skoro dziś z tegoż samego Solesmes, które walczyło przeciw skróconemu chorałowi, wychodzą chants abrègées, skrócone śpiewy graduałów, alleluia i tructus... Wszelkie więc wydawnictwa, jak niniejsze omawiane uważam za akcję skierowaną bezwiednie przeciw oficjalnemu wydaniu watykańskiemu". Po przeczytaniu tego artykułu odnosi się wrażenie, że autor jest zadowolony, iż dało mu się wykazać „niekonsekwencje i wady" w działalności OO. Benedyktynów z Solesmes.

Ponieważ—powiedzmy otwarcie—wieżymy mocno w zasady i w pracę Solesmeńską, ponieważ widzimy w OO. Benedyktynach solesmeńskich największy autorytet w kwestjach choralnych—dali temu tysiączne dowody w pracach teoretycznych i praktycznych — zwróciliśmy się do Solesmes o wyjaśnienie kwestji poruszonej przez ks. dr. Feichta.

Odpowiedź, którą otrzymaliśmy z Solosmes kwestję tę wyświetla całkowicie.

Istotnie, książka na którą zwrócił uwagę ks. dr. Feicht, ukazała się pod egidą OO. Benedyktynów z Solesmes. Zastała ona przez nich wydana bardzo niechętnie i jedynie wskutek nakazu Rzymu. Książkę tę opracowano i wydano specjalnie dla Kanady, gdzie nieznane są prawie zupełnie msze św. ciche, gdzie każdą mszę św. śpiewają. Śpiewanie zaś wszystkich mszy św. podług Graduału watykańskiego nastręczało trudności techniczno-muzyczne i przedłużało nabożeństwa.

Jeden z księży kanadyjskich ks. Gaguon, biorąc pod uwagę warunki miejscowe, postanowił wydać skrócony Graduał. Zwrócił się z tem do Solesmes. Tam początkowo nie podjęli się tej pracy. Wówczas ks. Gaguon prosił Stolicę Apostolską o interwencję. Rzym *nakazał* OO. Benedyktynom z Solesmes wykonanie tej dość niemiłej pracy. OO. Benedyktyni zastrzegli jednak sobie, że nie będą dla tej książki ani nowych melodji układać, ani też nie będą skracać melodji urzędowego wydania watykańskiego, jedynie dostosują teksty liturgiczne do melodji choralnych ambrozjańskich.

Tak też uczynili.

Jest więc ogromna różnica pomiędzy wydawnictwem OO. Benedyktynów o którem tu jest mowa, a wydawnictwem medycejskiem. Solesmes w tym wypadku dostosował teksty liturgiczne do dawnych psalmodji ambrozjańskich, Regensburg zaś skracał i zniekształcał melodje choralne.

Nie jest więc to wydawnictwo „najlepszym dowodem na zmianę poglądów, jakie się w stosunku do chorału dokonały u OO. Benedyktynów Solesmeńskich“ — jak zbyt łatwo i nieco przedwcześnie wywnioskował ks. dr. H. Feicht, lecz jest dowodem wielkiego i pokornego posłuszeństwa OO. Benedyktynów wobec władz wyższych. Wydali tę książkę z konieczności i z przykrością i starali się, by jaknajmniejszą tem wydawnictwem szkodę uczynić dla sprawy choralnej. Zresztą, przeznaczona ta książka jest jedynie dla Kanady. Nikomu pozatem OO. Benedyktyni tej książki nie polecali i nie polecają.

Lepiej niż kto inny OO. Benedyktyni znają wartości i estetyczne i liturgiczne chorału gregorjańskiego, lepiej niż kto inny umieją ten śpiew szanować i czcić i jak ongiś tak i dziś stoją na straży całości, czystości i stylowości odwiecznej muzyki Kościoła Katolickiego.

ZJAZD DELEGATÓW ZRZESZEŃ ORGANISTOWSKICH.

Od kilku lat coś się popsuło w organizacjach organistowskich. Zamiast wzmocnienia i spojenia, zamiast wzmożonej pracy i ciągłego rozwoju—nastąpiło rozproszkowanie i osłabienie, zanikła wspólna idea i wspólne dążenia i w niektórych djecezjach zrzeszenia organistowskie rozpadły się zupełnie, w innych istnieją tylko na papierze i tylko w nielicznych — praca organizacyjna powoli posuwa się naprzód i osiąga jakie takie rezultaty. Nie chcemy tutaj poszukiwać źródła zła, istniejącego w organizacjach organistowskich, nie chcemy zrzucać za to odpowiedzialności na te lub inne jednostki, biorące czynny udział w zrzeszeniach organistowskich — stwierdzamy fakt, że zrzeszenia te są dziś na złej drodze, bo zamiast spólnoty wsród organistów polskich — wprowadzają separatyzm dzielnicowy, odosobnienie poszczególnych grup organizacyjnych — co dla sprawy orga-

nistowskiej jest najbardziej szkodliwe, osłabia bowiem ich pozycję społeczną.

Wszystkie inne organizacje zawodowe dążą do jak największego zespolenia się, do połączenia się nawet z organizacjami pokrewnemi — powstają związki związków — jedynie organiści nie dorośli jeszcze do tych form organizacyjnych. Stanowią oni niewyraźną masę niezorganizowaną, lub źle zorganizowaną, nie rozumieją jeszcze tej potęgi, jaką jest w czasach dzisiejszych, dobrze funkcjonująca, rozumnie kierowana organizacja zawodowa.

Każda djecezja pracuje na własną rękę: każdy zarząd djecezjalny wysyła memorjały do władz duchownych i świeckich, punktem honoru każdej djecezji jest wydawanie swego pisma organistowskiego — chociaż jakiś świstek, chociaż jakiś „rocznik" ale niech wychodzi; w każdej djecezji organizowane są „własnemi siłami" kursa organistowskie, każda ma komisje kwalifikacyjne, wydające na prawo i na lewo patenty I-ej klasy, które dziś utraciły swoje znaczenie; w każdej inaczej są organizowane kasy samopomocowe, każda uważa się za najlepszą i w dumie swojej niechce nawiązać kontaktu z innemi.

Marnowanie sił organizacyjnych, marnowanie pieniędzy, zniechęcanie organistów do należenia do zrzeszeń.

W Warszawie niby istnieje Centralny Zarząd Polskich organistów-chórmistrzów, ale mamy wrażenie, ta Centrala sama dokładnie niewie centrem czego ona jest, bo koło niej nic się nie skupia i nic się nie dzieje. Statutowo, na papierze — wszystko w porządku, a faktycznie — coś nie dobrze. Zarząd Centralny istnieje, biuro centralne istnieje, tylko niema tych organizacji scentralizowanych.

I najprawdopodobniej Zarząd Centralny, zdając sobie dokładnie sprawę z obecnego stanu rzeczy, zwołał do Warszawy, na 29 listopada r. b. zjazd delegatów zarządów djecezjalnych organizacji organistowskich, dla zastanowienia się „nad celowością trwania istniejącej organizacji organistowskiej Kolegjum, oraz wytknięcia drogi, po której ma kroczyć".

Zjazd ten odbył się przy licznym udziale przedstawicieli poszczególnych organizacji organistowskich i co najważniejsze — na zjazd ten przybyli delegaci djecezji Gnieźnieńsko-Poznańskiej i djecezji Chełmińskiej — w osobach ks. proboszcza Wacława Faustmana i p. Stanisława Siedlewskiego. Dwie te djecezje, dziś dobrze zorganizowane, przed kilku laty zerwały z Centralą warszawską, uniezależniły się całkowicie, stworzyły organizację odrębną, opartą na nowym statucie. Z biegiem czasu wypłynęła

jednak znowu kwestja scentralizowania wszystkich polskich zrzeszeń organistowskich, myśl ta poczęła kiełkować i w Związkach Poznańsko-Pomorskich.

Na zjeździe—o którem tu jest mowa—poddano pod rozważanie kwestję celowości scentralizowania organizacji organistowskich. Wszyscy bez wyjątku uznali za konieczne istnienie Centrali, nie przesądzając narazie jej formy. Z dyskusji bowiem wynikło, że Centrala Kolegjum nie jest formą najlepszą. Delegaci z Poznania podjęli się opracowania projektu Statutu dla scentralizowanych organizacji organistowskich, który przedyskutuje specjalnie wybrana komisja i przedstawi do uchwały wszechpolskiemu Kongresowi organistów, mającemu się odbyć w maju r. b. w Poznaniu.

Jest to poważny krok naprzód w życiu organizacyjnem polskich organistów.

Myśl społeczna, zdrowa—zaczyna brać górę nad ambicjami dzielnicowemi. Obyż zebranie Warszawskie z dn. 29 listopada r. b. wydało pozytywne rezultaty. „—"

WYJAŚNIENIE.

Do Redakcji „Pisma Org." nadesłano list treści następującej:

„Szanowny Panie Redaktorze! Niedawno poznałem mszę Luigi Bordese p. t. „Petite Messe Solenelle", która, zdaniem mojem, niczem się nie różni od mszy Joseph Concone p. t. „Petite Messe Solenelle Complete" także dwugłosowej. Na podstawie artykułu „Upadek twórczości w muzyce kościelnej", umieszczonego w „Piśmie Org." z r. 1927 Nr. 4, postawiłem Bordese w rzędzie kompozytorów tej miary, jak Donizetti i Concone, którzy na muzyce kościelnej nie znali się i tworzyli rzeczy dla Kościoła bezwartościowe. Tymczasem przed kilku tygodniami dowiedziałem się od pewnej poważnej i muzykalnej osoby, że są Bordese bardzo ładne i utrzymane w dobrym stylu kościelnym msze. Proszę więc o wyjaśnienie mi tej sprawy. Z poważaniem Piotr Rutkowski. Raków.

Wyjaśniamy. Istotnie, msze i kompozycje kościelne *Luigi Bordese* (Ludwika Bordeze) żadnej wartości nie mają. Był to włoch, znający się dobrze na śpiewie; napisał szereg oper w stylu włoskim i kilka kompozycji kościelnych, niczem się nie różniących od swoich kompozycji operowych. Msze Bordese nie są ani liturgiczne, ani kościelne.

Natomiast często nazwisko tego kompozytora bywa u nas brane za jednoznaczne z nazwiskiem innego francuskiego kompozytora i wybitnego działacza na polu muzyki kościelnej—*Charles Bordes* (Karol Borde). Charles Bordes (1863—1909), uczeń C. Francka, położył wielkie zasługi dla muzyki kościelnej. Propagował we Francji i zagranicą chorał gregorjański, jako dyrygent słynnego na cały świat zespołu „Chanteurs de St. Gervais" wykonywał największe arcydzieła muzyki kościelnej, tak dawnej, jak i współczesnej, wydał utwory chóralne dawnych, dziś zapomnianych mistrzów,

wygłaszał odczyty o pięknie muzyki liturgicznej, redagował pismo poświęcone muzyce kościelnej i wespół z Guilmantem i V. d'Indy'm założył w Paryżu sławną do dziś dnia szkołę muzyczną p. n. *Schola Cantorum*. Wszystkie utwory kościelne Bordes'a posiadają wielką wartość muzyczną i liturgiczną. Niestety, w Polsce utwory Bordes'a nie są znane, a gdy zaś o nich mówić,—każdy myśli, że to jest mowa o utworach Bordese.

Mała różnica w pisowni tych nazwisk—a wielka różnica w wartości artystycznej tych dwuch ludzi. *L. Bordese*—żadnej wartości nie przedstawia, *Ch. Bordes*- nazawsze pozostanie wzorem dla muzyka kościelnego.

LISTY NADESŁANE.

Radom, dn. 22/XII 1928.

Szanowna Redakcjo! Rozgoryczeni urabianiem opinji o organistach, ratując ich honor, najuprzejmiej prosimy Sz. Redakcję o umieszczenie w swem organie następującego pisma:

W tygodniku „Moje Pisemko" Nr. 51 z r. 1928, wydawanym dla dzieci przez p. Buyno-Arctową, w napisanej przez nią i podanej tam powiastce „Wieś szczęśliwa" czytamy: „Poza tem męczę się nad wyuczeniem dzieci kolęd. Śpiewają już wcale nieźle, w każdym razie o całe niebo lepiej, niż chóry uczone przez organistę, który ma właśnie takie pojęcie o muzyce, jak ja o chińskim języku".

P. Buyno-Arctowa, używszy wyżej zacytowanego, niesmacznego zwrotu o organiście, nie zastanowiła się, że obok wywyższenia p. „Fifinki", a przez to ogółu nauczycielstwa, w bezprzykładny wprost sposób, jak przystało na Redaktorkę gazetki dziecięcej—skrzywdziła organistów.

Nie trzeba bowiem dowodzić, że tak pisząc wszczepiła w dusze dziecięce jad pogardzania organistami—jako nieukami, którzy jednak są przecież fachowymi muzykami i faktycznymi propagatorami śpiewu kościelnego, i których zasługą jest, że przez czas niewoli, kiedy nauczycielstwo, często wbrew ich przekonaniu, obowiązane było uczyć śpiewać zupełnie czego innego, śpiew Kościelno-Religijny, podtrzymywany właśnie przez organistów, nie upadł zupełnie.

Gorzej bowiem jeszcze, naprawdę „o całe niebo gorzej" sąd ten się przedstawia, jeśli p. Buyno-Arctowa zrobiła to z rozmysłem, krytykując pod każdym względem niesłusznie organistów. Przypuszczać należy, że do sądu p. Buyno.Arctowej o organistach w wielkiej mierze zapewne przyczyniła się nieznajomość warunków pracy większości organistów. Warunki te bowiem są gorsze pod wieloma względami od warunków pracy nauczycielstwa, które ma pod ręką zależną od siebie i na każde skinienie gotową dziatwę szkolną. Natomiast organista może uczyć tylko tych, którzy z własnej chęci przychodzą śpiewać na chórze. A trzeba pamiętać, że takich w dzisiejszych czasach mamy coraz mniej.

W każdym jednak razie, czyż można z całą pewnością twierdzić, że nauczyciel czy nauczycielka na muzyce zna się lepiej od organisty?

Chyba tylko dzieci w to uwierzą, no i p. Buyno-Arctowa, która skoro tak twierdzi, zapewno ma dziecięce o tem pojęcie.

Zarząd Okręgowy Kolegjum Organistów
Chórmistrzów djecezji Sandomierskie
(—) *Tomasz Pietras*—Prezes.
(--) *St. Sudoł*—Sekretarz.

AKADEMJA W ŁOWICZU.

Dnia 22 listopada r. b. w Łowiczu odbyła się akademja ku czci św. Cecylji. Akademja, nad którą objął łaskawie protektorat ks. prałat Stępowski, proboszcz Kolegjaty Łowickiej, zostala zorganizowana przez R. Hamasiewicza, organistę tejże Kologjaty, z polecenia Władz Kolegjum Polskich Organistów.

Na program złożyły się: okolicznościowe przemówienie ks. prałata Stępowskiego i produkcje chórów kościelnych z Łowicza, Kutna i Skierniewic, przyczem łowicki chór przy Kolegjacie pod dyr. R. Hamasiewicza wykonał: a) ks. Gruberskiego—kantatę ku czci św. Cecylji, b) Bogurodzica, c) St. Moniuszki—Z Krzyża Boleści, d) Krogulskiego—Ojcze nasz i e) Dürnera—Zażegnanie burzy; łowicki chór przy kościele Św. Ducha pod dyr. J. Morawskiego wykonał: a) Pakulskiego—Modlitwę i b) Wyjątki ze mszy—Zientarskiego; chór kościelny z Kutna pod dyr. organisty L. Pikuły wykonał: a) Pompeo Caniciari: Kyrie. Sanctus, Benedictus, Agnus Dei i b) ks. J. Surzyńskiego—Pie Pelicane; chór koscielny ze Skierniewic pod dyr. organisty K. Kempińskiego odśpiewał: a) Gounoda—Na stopniach Twego..., b) Maszyńskiego—Święty, c) ks. J. Surzyńskiego—Zdrowaś Marya.

Nadto połączone chóry męskie i mieszane pod dyr. R. Hamasiewicza wykonały: ks. Gruberskiego—„Immolabit" i „O sacrum" oraz Beethovena—„Niebiosa głoszą i Stwórcy cześć".

Wszystkie chóry, ogólnie wziąwszy, przedstawiają się dobrze, brzmią czysto—wyjątek stanowi jedynie chór przy kościele Św. Ducha w Łowiczu, który, poza względną czystością brzmienia, żadnych walorów artystycznych nie wykazał.

Chóry połączone, mimo braku możności należytego ześpiewania się (Kutno od Łowicza odległe o 35 kilometrów, a Skierniewice o 20 klm.)—brzmiały czysto i potężnie, czem wywarły na słuchaczach dodatnie wrażenie. To też bardzo licznie zebrana publiczność nie szczędziła wykonawcom zasłużonych oklasków.

Wszystkim członkom zespołu należy się wielkie uznanie dla poniesionej pracy i dla zapału do tej pracy, co pozwoliło przezwyciężyć wszelkie trudności, nie wyłączając i trudów uciążliwej podróży. którą trzeba było odbyć autobusami. W końcu należy zaznaczyć, że akademja została zorganizowana bardzo dobrze.

Obecny.

WYNIK KONKURSU KOMPOZYTORSKIEGO.

W ostatnich dniach rozstrzygnięty został konkurs kompozytorski, ogłoszony przez Związek Śląskich Kół Śpiewaczych w Katowicach. Na konkurs ten nadesłano ogółem 44 prac. I-szą nagrodę (600 zł.) uzyskał p. Edward Lorenz z Warszawy za utwór p. t. „Z rękopisu starej kroniki klasztornej", II-gą nagrodę (400 zł.) p. Karol Prosnak z Łodzi za utwór p. t. „Kołysanka", III-cią nagrodę (250 zł.) p. prof. Stanisław Rączka z Zawiercia za utwór „Symfonja nocy".

Prócz tego Sąd konkursowy, składający się z profesorów St. Niewiadomskiego i Bronisława Rutkowskiego z Warszawy oraz Dyr. St. M. Stoińskiego z Katowic uznał kilka dalszych prac jego nadające się do zakupienia i wydania. Nagrodzone utwory będą wydane w śpiewniku, który opracowuje Związek Śląskich Kół Śpiewaczych, i zostaną wykonane poraz pierwszy na ogólnym Zjeździe śpiewaczym chórów śląskich w r. 1930.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: *Bronisław Rutkowski.*

Zakłady Graficzne Wuzet, Miodowa 23.